

Dziwny stwór przybył od południa ulicą Barlicką, po czym przystanął tuż przed niewielkim pasażem, który dwadzieścia lat wcześniej robił za płatny parking dla turystów oraz klienteli zaintrygowanej lodowiskiem w budynku Toropolu. Stary, zardzewiały parkomat już dawno wybebeszono z elektroniki, a wraki samochodów świeciły oczodołami pozbawionymi reflektorów, przez co ich karoserie przypominały żelazne straszdyła odpychające wszystko i wszystkich.

Niebo szczelnie pokryte było szarymi, rozłożystymi obłokami, które nader skutecznie udaremniały przedarcie się świetlistych kosmyków słońca. To dobrze: przerwana powłoka ozonowa oraz zintensyfikowane przez grad bomb atomowych promieniowanie UV zabiłyby stwora, który zatrzymał się przed szkieletem budynku Muzeum Polskiej Muzyki. Prostopadłościenna bryła budowli bez swoich słynnych, przeszklonych ścian przypominała bezzębego menela. Betonowe filary porośnięte dziwną, śmierdzącą pleśnią tylko umacniały u potwora to skojarzenie.

Dwumetrowy goliat o gumiatej skórze i dwóch wyrostkach na twarzy – filtrach maski przeciwgazowej – przeszedł powoli przez Pasaż Grygolunasa i Święcickiego, omijając zgrabnie porzucone wraki pojazdów. Wojskowy bucior o wzmocnionym czubie zmiażdżył ostre resztki stłuczonego okna osadzone we framudze, gdy „gumiasty” bez problemów dostał się do holu muzeum. Wyszedł naprzeciw niewielkiego sklepu z pamiątkami, który ucierpiał w ataku atomowym oraz późniejszej szarży zdesperowanych ludzi, pragnących zdobyć jedyne, co przypominało im o starym życiu – przegniłe, podmokłe widokówki z wizerunkiem Opola. W kiosku zostały wyłącznie zbędne przypinki, smycze na klucze oraz magnesy po sześć złotych.

Stwór sięgnął łapą do boku swojego plecaka, skąd odczepił złożony karabinek szturmowy Beryl z arsenału Wojska Polskiego. Metalowe ząbki szczerbinki złączyły się z muszką i raz za razem oko ukryte za pleksiglasem maski łypało na korytarz prowadzący do niewielkiej szatni z szafkami na bilon. Monstrum chrząknęło prześmiewczo na myśl o monetach, banknotach oraz innych formach dewiz, jakie obowiązywały jeszcze dwie dekady wcześniej. Teraz jedyną znaczącą walutą były puszki z tuszonką, ciepłe ubrania... amunicja. Ludzie wyściubiali swoje nosy z bezpiecznych kryjówek, żeby przeprowadzić rajd na powierzchnię stolicy województwa opolskiego w poszukiwaniu tych drogocennych surowców.

Potwór z Berylem był jednak trochę innym typem poszukiwacza-awanturnika; zależało mu na zdobywaniu namacalnych dowodów przeszłości, które stanowiły prawdziwe jaja Fabergé kultury masowej, nauki czy szeroko pojętej sztuki. Czemu to robił? Zależało mu na ocaleniu fundamentów ludzkości w świecie opanowanym przez radiację, krwiożercze bestie oraz prymitywne maniery garstki społeczeństwa? A może robił to wyłącznie dla siebie, pragnąc zatracić się we wspomnieniach związanych z dawnym, lepszym życiem?

Chyba sam do końca nie wiedział.

Stalker znalazł się we właściwej części muzeum, do której prowadził póttunel zbudowany z abstrakcyjnie pofalowanych, alabastrowych ścian. Niegdyś puszczano na nich archiwalne materiały z koncertów polskich muzyków czy ekspozycję z twarzami śpiewających klientów galerii, ale po Apokalipsie ktoś podwędził drogocenny projektor. Skradziono również ekrany dotykowe z plastikowych totemów, a cały budynek rozpruto z żył i tętnic – kabli, drutów oraz złączy różnego typu. Ściany były zrujnowane; wypływały z nich trzewia pod postacią izolacji, prętów zbrojeniowych, wiórów spękanych sklejek. Muzeum przedstawiało jeden wielki obraz nędzy i rozpaczy, stanowiło świadectwo rozpadu starego świata. Stało się tym, czym niegdyś dla konkwistadorów były świątynie Majów; czym piramidy dla archeologów.

Potwór skierował lufę automatu w sufit, pod którym wisiało sześć okrągłych komór. Dawniej ludzie na piętrze galerii mogli w nich oglądać fragmenty reportaży i dokumentów przedstawiających kulisy produkcji klasyków polskiej muzyki. Niektórzy chodzili tam tylko po to, żeby zyskać chwilę prywatności ze swoim partnerem albo odpocząć od zgiełku turystycznej nawałnicy. Teraz siedziały tam wyłącznie cykady.

Dziesiątki cykad. Dziesiątki ponad metrowych cykad.

Cyk-cyk-cyk.

Chitynowe pancerze otulały zaokrąglone ścianki komór, tworząc żywe kokony, a dźwięczna tyraliera niosła się po całym holu muzeum.

Cyk-cyk-cyk. Stalker znów prychnął. Owady kojarzące się z pieśnią i melodią zasiedliły Muzeum Muzyki w Opolu. Robactwo, które symbolizowało zmartwychwstanie oraz nieśmiertelność, śpiewało beztrasko w niemalże wyludnionym mieście strawionym przez pożogę wywołaną niszczycielskimi falami radiacji. Ironia losu.

Nie bał się cykad. Te reagowały wyłącznie na częstotliwości pitagorejskie, wydawane głównie przez instrumenty. Postanowił jednak zachować szczególną ostrożność, stąpając powoli, na palcach, w głąb muzeum. Ominął stary fortepian wystawowy, parę podniszczonych wieszaków z plakatami Maryli Rodowicz czy młodego Zbigniewa Wodeckiego. Na ruchomych stojakach ustawiono stare opakowania po płytach winylowych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. To wciąż nie to, czego szukał.

Donośny trzask.

Po jego prawicy, ze strony skromnej sali kinowej, otworzyły się z hukiem drzwi wahadłowe. Stalker gwałtownie padł na kolano, a jego rzepekę przeszył ból. Poczł, jak szczęka

się zakleszcza, trąc szklivem o szklivo zęba. Nie stracił jednak rezonu i przyczajony za czarnym fortepianem celował w otchłań nowo otwartego pomieszczenia.

Widział, jak z ciemności wyłania się postać w bordowym, rozkloszowanym odzieniu przypominającym szatę szamana. Widział, jak starcze, wychudzone palce wysuwają się spod szerokich rękawów, jakby mężczyzna przygotowywał się do wypowiedzenia śmiertelnej inkantacji. Widział, jak wokół szyi bladej i cienkiej niczym bibułka, owijała się ogromna, owłosiona żmija lub bliżej niezidentyfikowany robal. Widział twarz porośniętą przydługą, siwą brodą, która sięgała aż do splotu słonecznego. Człowiek bez odzienia specjalistycznego, maski ochronnej i broni. To z pewnością musiał być jakiś czarodziej, wytwór postapokaliptycznego świata, nadnaturalna istota.

Stalker przytulił palec do spustu karabinka, szykując się do strzału, kiedy usłyszał:

– Co się tam kitrasz za fortepianem? Kupa przycisnęła? – odezwał się zatroskanym głosem dziadzio, przyklaskując wesoło dłońmi tak, że aż cykady z przerażenia zagrały głośniejszymi chitynowymi skrzydłami.

Mężczyzna w gumowym kombinezonie oglądał się nerwowo to na żywe kokony ponad głową „czarodzieja”, to na samego starca, który podchodził do niego z obłąkańczym uśmiechem.

– Stój, gdzie stałeś – wycedził przez zaciśnięte zęby, czując, jak mimowolnie napina się od narastającego strachu. – Nie podchodź, pomyleńcu! Jeszcze krok, a cały magazynek w ciebie właduję.

– Według ekspertów, dopuściłeś się włamania do mojego domu, więc zbytnio nie możesz mi rozkazywać – odpowiedział zachrypniętym głosem starzec, który głaskał, jak się okazało, nie węża, a puszysty szal boa.

– Jakich, kurna, ekspertów?! Mam karabin, ja tu rządzę. A to nie jest wcale twój dom.

– Mówisz tak, bo nie jesteś ekspertem.

Stalkerowi zakręciło się w głowie od tej groteski. Nie wiedział, o co chodziło starcowi ani – co gorsza – jak dał mu się wciągnąć w ten pajacowaty, nonsensowny dialog. Szczękniętą przełącznikiem, zmieniając tryb pojedynczego strzału na serię. Dźwięk ten poruszył nie tylko cykadami, ale i starcem.

Cyk-cyk-cyk.

– Mów, kim jesteś – szepnął „gumiasty” znad kolby karabinu, mierząc w korpus nieznajomego.

– Nazwałeś mnie już Pomyleńcem, więc niech tak zostanie. Choć mam pewne wątpliwości co do tego, kto nim faktycznie jest – zaśmiał się serdecznie szaman, eksponując łyse, blade dziąsła. – Wyglądasz na całkiem obytego stalkera. Pewnie wiesz, że nic tutaj nie znajdziesz, jeżeli chodzi o sprzęt czy jedzenie. Obstawiam więc, że szukasz czegoś konkretnego.

„Gumiasty” przełknął ciężko ślinę pod szarą maską i skinął delikatnie głową, zdejmując muszkę z rozmówcy.

– Płyta Republiki, „Siódma pieczęć” z dziewięćdziesiątego trzeciego. Sądzę, że znajduje się w tutejszych archiwach.

Pomyleniec zagwizdał zdumiony, co zintensyfikowało cykanie pod sufitem. Mimo to mężczyźni zachowali pełen spokój. No, prawie pełen, ponieważ stalker wciąż czaił się za instrumentem, w każdej chwili gotów odskoczyć od nieznajomego lub pikujących owadów.

– A „Cykady na cykladach” od Maanam byś nie chciał? Te na pewno się znajdują.

Cyk-cyk-cyk.

– Marny żart, Pomyleńcu.

– Możliwe, że znajdziemy twoją Republikę. Jest tylko jedno ale: zabierzesz mnie ze sobą.

Stalker łypnął na niego spod przeszklonych otworów w masce i prychnął arogancko, powoli podnosząc się z klęczek. Wsparł się lewą ręką o fortepian, po czym stanął zgrabnie na równe nogi, mimo obitego stawu. Takiego żądania się nie spodziewał.

– Gdzie niby mam cię zabrać? Na naleśniki do Grabówki? – wyśmiał propozycję starca i miał nawet splunąć, ale szybko pojął, że w masce byłoby to co najmniej idiotyczne.

– Nic bardziej mylnego. Nie ukrywajmy, że żyjemy w świecie pozbawionym dawnych wygod. Nigdzie nie znajdziemy funkcjonującego samochodu, a co dopiero radia. Tak, podejrzewam, że masz sprawny odtwarzacz płyt, bo nikt nie jest takim półmózgiem, żeby ruszyć do centrum Opolą po byle płytkę do postawienia na półce.

– Może ja jestem?

– A jesteś?

Stalker przesunął językiem po wewnętrznej stronie policzków, starając się przetrwać ofertę starca. Równie dobrze mógłby go zabić i samemu poszukać albumu Republiki. I tak nie wiedział, czym jest moralność w obecnych czasach. Wiedział jednak, czym jest cholerne sumienie, a je ciężko było doprać nawet gorzałą. Spróbować ogłuszyć szamana? A może spełnić jego prośbę?

„Gumiasty” doskonale go rozumiał; sam od dwóch dekad nie słyszał prawdziwej muzyki, rocka z krwi i kości. Tylko prymitywne harce na puszkach po konserwach, dyszkant dzieciaków. I to wszystko na tle starej fotografii, na której rysował się opolski ratusz z posągiem księcia Kazimierza Pierwszego na koniu. Jednocześnie stalker był pewien, że zaakceptowanie żądań Pomylenca zabije chwilę intymności, jakiej chciał dla siebie i piosenek Republiki.

– No dobra. Pakuj mandżur, starcze, idziemy na koncert.

\*\*\*

Dwóch amatorów polskiego rocka udało się ulicą Barlicką do ogrodu Zespołu Państwowych Placówek Kształcenia Plastycznego, gdzie przez krótką chwilę podziwiali skromne posąжки oraz rzeźby pokryte śnieżką od długotrwałego stania na wilgotnym powietrzu. Następnie ruszyli na Bulwar Karola Musioła tworzący niegdyś swoistą ścieżkę zdrowia wzdłuż Odry, z której wyrastał fragment burty podtopionej barki. Widok ten nie zdziwił żadnego z nich; skutki wojny atomowej były wszędzie, natrętne dla oczu. Widok zatopionego statku stanowił ledwie czubek ogromnej góry lodowej, którą było unicestwienie tysięcy istnień i przedśmiertne konwulsje Matki Natury. Zdecydowanie większym zainteresowaniem mężczyźni obdarzyli mural z ogromnym, różowym napisem: „Kocham Cię”. Tuż obok namalowano brunatnego miśka, którego bezpalcowa łapka trzymała dłoń pięknej syreny o długich blond włosach. Kosmyki wiły się niczym macki wzdłuż łuskowatego, szmaragdowego ogona, gładko przechodzącego w inne graffiti.

Stalker stał jak zauroczony, namiętnie wpatrując się w wielkie czarne oczy syreny, jej uwydatnione, koralowe usta oraz nienaturalnie wydłużone rzęsy. Zaparowane szkła maski przeciwgazowej nie pozwalały mu w pełni dostrzec piękna przerysowanej dziewczyny, więc zsunął z głowy kaptur i zdjął z twarzy gumową woalkę.

Pomyleniec drgnął.

Już nie było tego straszego potwora, anonimowego zabijaki i doświadczonego stalkera. Stał przy nim dorosły, czterdziestoletni mężczyzna, na którego pełnej bruzd twarzy wciąż tliła się dziecięca naiwność... naiwna miłość do przeszłości.

Niebieskie, starcze ślepie obserwowały, jak stalker, zafascynowany ostatnim świadectwem palety barw innej niż odcienie szarości, zbliża się do muralu z syreną. Jak przytyka rękawicę do dziewczęcych warg, przykleja zatłuszczone, czarne włosy do skroni malowidła. Po spoconych policzkach karabiniera spłynęły słono-gorzkie łzy rozpacz. Pomyleniec w taniej kopii estradowej szaty stał na wypalonym odłamku parkowej murawy, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Wyłamywał swoje palce pod obszernymi rękawami, przerzucał ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Po chwili usłyszał:

– Dwie dekady się staram, starcze. Czuję, że dawno temu wyszedłem z siebie i się zgubiłem – rzekł donośnie mężczyzna, odsuwając twarz od cementowego płótna. Spod oka syrenki odpadł kawałek zaschniętej farby, ukazując prawdziwe, szare lico muru. Kolejny spazm targnął ciemnowłosym.

– Wiesz, synu...

– Iwo. Nazywam się Iwo i nie jestem twoim synem. Mój ojciec nie żyje – przerwał starcowi przygaszonym głosem.

– Ech, wiesz, Iwo... ludzki umysł jest trywialny. To cud, że udało nam się stworzyć cywilizację...

– ... która finalnie i tak upadła. Nie chodzi mi jednak o wojnę, o zniszczenia. Chodzi mi o nią.

– Mówisz o syrenie? – zapytał zmieszany Pomyleniec, zerkając raz na stalkera, raz na blond Arielkę.

Iwo pokręcił przecząco głową i odbił się dłonią od muru, niechętnie kierując się w stronę leżaka przypominającego pajęczą sieć. Przysiadł na krawędzi okrągłego stelaża, a następnie zdjął z szerokich ramion plecak, z którego wysunął bezprzewodowy odtwarzacz Panasonic. Starzec rozdziawił usta z podziwem, nie wierząc, że taki gadżet mógł przerwać tyle lat i nie zniszczyło go działanie impulsu elektromagnetycznego czy nieodpowiednie podejście człowieka. Sam Iwo nie zachwyił się archaicznym radiem, tylko otworzył plastikową klapkę, po czym wsadził płytę Republiki do napędu. Towarzyszył temu krótki świst komunikujący, że nośnik został odczytany przez maszynę. Po chwili rozbrzmiała perkusja Leszka Biolika, zagrały klawisze i zaśpiewał głos Ciechowskiego.

*Jeśli cię spotkam w życiu przyszłym*

*Możesz być pewna – poznam cię*

*Nawet gdy wszystkie twe pieprzyki*

*Zmienią na mapie miejsca swe*

– Byliśmy już rok po maturach – zaczął posępnie Iwo – i oglądaliśmy się akurat za jakąś kawalerką, żeby wyjść na swoje. Nie było to zbyt ambitne, prawda, ale nie zależało nam na majętnym i wystawnym życiu. Ono już było wystarczająco ozłocone naszą szczerą miłością. Tyle że nagle doszło do tego... wszystkiego. Tamara, moja precudowna ptaszyna, zmarła na chorobę popromienną krótko po zejściu do schronów pod budynkiem Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego na ulicy Kościuszki. A ja dalej, od dwudziestu lat, chodzę po tym padole łez. Złotą miłość przekulem w platynową wątrobę, ale zapasy wódki dawno mi się wyczerpały. A wraz z nimi resztki jakichkolwiek chęci.

*Jeśli cię spotkam w innym świecie*

*Starczy, że przejdziesz obok mnie*

*Z tobą to samo będzie przecież*

*Staniesz i powiesz imię me*

– Nie chciałem, żebyś szedł ze mną, starcze. Republika miała odegrać mój marsz żałobny. – Iwo spojrział na Pomyleńca, który zajął na pajęczynce miejsce tuż obok niego. Wydawał się zblazowany, niezaaferowany słowami stalkera. Tępo gapił się na stary most kolejowy nad Odrą, po którym niegdyś kursowały pociągi do Wrocławia.

– Chciałeś odejść w bardzo pięknym miejscu, drogi Iwo – mruknął wreszcie starzec, naciągając rękawy na przydługie palce. – Wierzysz, że po wszystkim odnajdziesz swoją ukochaną?

– Mam taką nadzieję.

– A wierzysz w Boga?

– A ty jesteś w stanie wierzyć po tym wszystkim, co się stało? – zapytał z wyraźną nutą oburzenia.

Starca to nie poruszyło. Ruszała się natomiast jego głowa, falowała leniwie do dźwięków gitary basowej.

– Więc jeżeli nie masz pewności co do istnienia Boga, to nie możesz mieć pewności co do istnienia raju.

– Chyba nie zamierzasz przeprowadzać rekolekcji minuty przed moim odejściem? – prychnął Iwo, przecierając gumowym rękawem policzki mokre od łez.

– Ależ skąd, młodzieńcze. Bóg, tak samo, jak moralność, jest kwestią relatywną. Każdy ma swoją prawdę i każdy wierzy w swoje El Dorado, Eden albo łono Abrahama. Sęk w tym, że nie jesteś świadom istnienia jednego, pewnego raju.

Brodacz wyściubił krzywy palec spod rękawa bordowego płaszczyka i pchnął nim w pierś stalkera, co wywołało kolejną emocjonalną lawinę w sercu mężczyzny. W jego oczach załśniło łzawe wzruszenie.

– Właśnie tutaj, w tym sercu, jest raj twojej ukochanej – kontynuował starzec. – Masz pewność, że będzie żyła w tobie, a ty razem z nią. Masz pewność, że przetrwa jedyny prawdziwy obraz przepięknej absolwentki liceum, która marzyła wyłącznie o mieszkaniu z chłopakiem w skromnej kawalerce. Jeżeli cię zabraknie, Iwo, zabraknie też Tamary...

– Ale jej przecież nie ma...

– Gdyby tak było, to byś jej nie słyszał codziennie w swoich myślach, nie miałbyś wiecznych przeblysków wspólnych wspomnień. Nie dobrałbyś tej piosenki na ostatnią prostą swojego życia.

– To tylko tęsknota.

– Miłość niejedno ma imię, a szczególnie ta prawdziwa.

Stalker spuścił głowę, patrząc na odtwarzacz, który grał na jego kolanach. Teraz przemawiał do niego nie tylko Pomyleniec, ale również Grzegorz Ciechowski.

*Po znamieniu na mej duszy*

*Które znakiem twoim jest*

– Dwadzieścia lat temu byłbyś świetnym terapeutą, starcze – zaśmiał się cicho stalker, obejmując ramieniem Pomyleńca. – Albo bałamutnikiem. Jak naprawdę się nazywasz?

– To również kwestia relatywna. Sam wkrótce stwierdzisz, czym lub kim dla ciebie byłem.

Iwo milczał przez chwilę, chcąc jakoś sensownie zareagować, skomentować wypowiedź starca, ale przerwał mu dziwny chrobot. Donośne, znajome tarcie chitynowych skrzydeł.

Cyk-cyk-cyk.

Dziesiątki cykad stały na zamalowanym murze, zalewając całą długość graffiti oślizgłym, wstrętnym pancerzem. Blond Ariel wyglądała niczym owrzodzona skostniałymi, zaropiałymi płatami skóry. Muzyka z odtwarzacza musiała wybudzić stwory z letargu, przez co wyruszyły na żer w stronę największej aktywności dźwięku. Stalker momentalnie rzucił Panasonic na pajęczynę leżaka, chwycił odbezpieczony automat Beryl i wycelował w stronę obleganego muralu.

Cyk-cyk-cyk.

– Uciekaj, starcze! Nie zamierzam nosić drugiego w swoim sercu, aż tak miłosierny nie jestem!

– A kto powiedział, że ja w ogóle tutaj byłem? – rozbrzmiał śmiech dziadka, który klasnął dziarsko w dłoń.

Stalker spojrzał przez ramię w miejsce, gdzie stał Pomylenieć... a przynajmniej gdzie powinien stać. Na wypalonej trawie leżał tylko fioletowy szal boa, którego błyszczące włoski odbijały fikuśne refleksy światła.

Zniknął. Został tylko Iwo i zespół Republika.

Znów spojrzał w stronę cykad, które coraz zwawiej człapały w stronę huśtawki. Stalker już przygotował ramię na bolesne szarpnięcie karabinu, kiedy to raz wtóry odmówił sobie oddania strzału. Cykady wcale nie czały się na niego. Wylazły ze swoich sztucznych kokonów wyłącznie po to, żeby posłuchać wokalu Ciechowskiego.

Cyk-cyk-cyk.

Tak jak Iwo czy Pomyleniec, tak te obślizgłe monstra miały pełne prawo posłuchać dobrej muzyki.

Mężczyzna sięgnął do plecaka po malinowy środek przeciwpromienny – cysteaminę – i przełknął tabletkę, po czym naciągnął silikonową maskę na łeb. Postąpił jeden krok, potem drugi, trzeci, aż w końcu potruchtał śmieiej wzdłuż Odry, słysząc cykające poczwary robiące Republice za chórki.

Każdy zasługiwał na namiastkę przeszłości.

*Z podziękowaniami dla Aleksandry Gorazdy za korektę tekstu oraz Sandry Szczap za stanowienie mojego literackiego natchnienia.*